



**B
R
E
U**

**J
A
C
E
K**

JACEK BIERUT

71



WYDAW
NICTWO

WYDAWNICTWOJ WROCŁAW 2019

Ruch jego lufy zatrzymał się wprost na jej oku. Zrobiło jej się ciepło w tę część twarzy. Wszystko w niej chciało zamknąć powieki, ale ich nie zacisnęła. On nie nacisnął cyngla. Palec mu się nie rwał do roboty. Może wcale nie jest tak łatwo zabić kogoś, kto chce poznać twoje przydomki. A może doszło do uniesienia się chłopięcego serca?

– Imię to wiesz... Nie pytam o imię. Mój stary dał mi na imię tak, że nawet matka tak do mnie nie mówiła. Nikt tak do mnie nie mówi. Jak na ciebie mówią?

Ojciec spojrział na nią wyraźnie zdziwiony. Ale chyba bardziej cieszył się z tego, że nikt na razie do niego nie strzelił.

– Na mnie mów Pi – powiedziała i trochę się zmartwiła, że na chłopaczku nie zrobiło to żadnego wrażenia. – Wiesz, co to jest? To jest taka liczba, której nikt nie zna. I nie pozna. Nigdy.

– Akurat – zaśmiał się. – Ja znam wszystkie liczby. Do stu. A nawet więcej. Liczby są słabe. Jak coś się da policzyć, to znaczy, że nie warto tego liczyć.

– Ja tam lubię liczby. A ty? Co lubisz?

Naprawdę się zastanowił. Ucieszyła się. Uważanie ludzi za tych, kim są, jest słabe. Ludzi lepiej uważać z tych, kim chcieliby być.

– Lubienie jest dla głupków – odpowiedział.

– No pewnie, ale jak byś lubił, żeby na ciebie mówili? – pokazała na jego kumpli i zatoczyła ręką po całym Płaskowyżu.

Chyba mu się to spodobało. Cały Płaskowyż. Zastanowił się.

– To ważne, jak na ciebie mówią i jak będą mówić. Życie jest fajne, jak się przechodzi do legendy. Inne życia są dla głupków.

– Chcę, żebyście na mnie mówili – zwrócił się do pozostałych chłopaków – Kapitan.

– Kapitan – wybuchnęli śmiechem.

– Nie mogę.

– Zejść się.

– Słabitan.

– Głupi jesteście – Pi przerwała im zabawę. – On jest od teraz Kapitan i koniec. Może nie?

Śmiechy ucichły.

– A na ciebie jak mamy mówić? Jak chcesz? – spytała pierwszego z brzegu.

Bardzo go zaskoczyła. Skulił się pod szynalem. Przykurczył. Niemal zniknął. Prawie nie było go widać. Nabrał powietrza i poruszył bezgłośnie ustami. Ale tylko tak, jakby próbował je przyzwyczaić do ruchu, jaki jest potrzebny, żeby udało się wymówić to słowo. A może jakby je sobie przypominał? Pobierał z innego świata?

– Żołądeczek – powtórzył ten sam ruch ust, ale wypowiedziane słowo było tak ciche, że niemal nie było go słychać.

– Jak?! – krzyknął jego kolega.

– Żołądeczek – powtórzył już pewniej. – Żołądeczek.

Wszyscy w śmiech.

– Żołądeczek! Żołądek!

– Nie Żołądek, tylko Żołądeczek. Nie znacie się. Nic a nic. Mama tak do mnie mówiła.

Przestali rechotać w jednej chwili.

– Żołądeczek, słyszycie. Mama nie żyje? – spytała Pi, chociaż nie trzeba było pytać, bo chłopcu zaszklily się oczy. Innym także. To chyba nie było wśród nich mile widziane. – Jak mama tak mówiła, to Żołądeczek i już. Co mama, to mama. Żołądeczek. Fajny jesteś. Też miałam mamę. Mama jest super. I dla mnie ona wcale nie jest tak całkiem nieżywa. Tu ją noszę – klepnęła się w bawełnianą podkoszulkę. – Żołądeczek, Kapitan, chodźcie do mnie. Będziemy razem zapamiętywać. Każdego po kolei. Wszystkim się należy. Wszystkich zapiszemy tu – przetarła ziemię tuż przed sobą. – A potem będziemy czytać. Każdy zapamięta. – Kapitan – schyliła się i kciukiem zapisała pierwszego, głośno literując. – Fajne nazwanie. Kapitan. Podoba mi się. Super. I łatwo zapamiętać. Ja już pamiętam. Kapitan i Pi. Nie? Wszyscy tak będą mówić. Zobaczysz. Będą mówić: Kapitan i Pi. Zrobili to i to. Teraz ty. Żołądeczek. Ciebie zapiszemy obok. Żo-łą-de-czek. Ładnie. Żołądeczek – powiedziała to tak, żeby wszyscy usłyszeli i żeby im się spodobało. Miała bardzo ciepły głos. Podniosła głowę. – Żołądeczek jest fajny. Aż od razu chce się go lubić. Taki miły. Ja cię lubię, Żołądeczek. Kapitan też. Kapitan i Pi lubią Żołądeczka. Kto następny?

No i tak milczeliśmy i milczeliśmy. I nagle ona powiedziała tylko trzy słowa. I jak idealnie pasowały.

– Nie mam dzieci – powiedziała, i to zabrzmiało jak najsmutniejsze wyznanie.

Łyknałem kawę do końca i zebrałem się do wyjścia. Przecież nie mogłem jej powiedzieć, że ja już też nie mam i że mi teraz od tego odbija na dobre. Bo moja żona zabiła mi syna. Ale ona nie.

– Ale ja tak pana nie puszczę. Niech pan jeszcze zostanie – stanęła mi na drodze. – Ja panu coś powiem. Tylko proszę się nie śmiać, na miłość boską. To bardzo ważna rzecz jest. Jezus Maria. Jak ja to powiem? Może dla świata nie jest ważna, ani dla pana, ale dla mnie jest. Proszę mnie zrozumieć. Ja to chyba wymodliłam. Znaczy, pana wymodliłam. Że pan tu jest. Ja już może nie będę miała okazji. Jak ja to powiem? Matko Boska! No, muszę powiedzieć jakoś. Ja taka samotna. Proszę mnie zrozumieć. O Boże! – popatrzyła mi nagle w oczy z takim zdeterminowaniem, że aż usiadłem z powrotem. – Ja muszę mieć dziecko. Panie drogi. Niech mi pan zrobi taką przysługę. Niech mi pan zrobi tę łaskę. Ja się odwdzięczę. Naprawdę. Dużo nie mam, ale powinno wystarczyć. Ja to wymodliłam. Już jak pan przyszedł, to wiedziałam, że to pan będzie. Tu nikt nie przychodzi. Nawet listonosz zostawia wszystko na dole. Przecież od razu wiedziałam, że pan żaden sąsiad. Ja tu wszystkich przez okno obserwuję, a pana nigdy nie widziałam. Ja po prostu chcę, żeby to był pan. Co? No co? Niech pan coś powie.

Życie to jest właśnie to. Ktoś każe zaczynać, ale każe w taki sposób, jakby najpierw kupić firanki, a potem chciał dobudować do nich dom. Dlatego cała sztuka polega na tym, żeby umieć żyć równoległym życiem, kiedy prawdziwe okazuje się nie do zniesienia. Co i jak zaczynać? – się myśli, ale nikt nie wie, co i jak. I wtedy przybiegła jakaś inna, Sarna, jeszcze ładniejsza dziewczyna z meldunkiem, że dopiero po drugiej salwie. Co to znaczy, nikt nie wie, ale wszyscy liczą, że w odpowiedniej chwili się zorientują. I robią do dziewczyny miny, bo po cóż innego niby ta wojna. Ona też robiła do nich miny. Do ciebie nie. Na ciebie tylko patrzyła. Z nieufnością. A nawet z niechęcią.

– Dwójkami i krótkimi skokami – instruował ten najważniejszy.

System dwójkowy. Jakiś dziwny. Ale po pierwsze, się nikogo do dwójki nie miało, a po drugie, to szczeniak był, i nawet można było mieć wrażenie, że w tym, co on gada, jest jakieś ziarno prawdy, ale jak mu się bliżej przyjrzało, to miał niemiłosiernie stare trepy, wielkie zacerowanie na kolanie i w ogóle był chudy, jakby w domu się nie przelewało; i naprawdę nie można mieć do siebie pretensji, że się pomyślało, że nic, co ten chudzina w życiu zrobił, nie doprowadziło go do zwycięstwa. A przecież po wyrwaniu desek i wyskoczeniu z transportu tuż nad ranem sobie samemu dało się słowo, że się nie przegra, że się cało doczeka końca tego wariactwa, gdzie wszystko chce, żeby się zginęło jak najszybciej. I jak się znalazło robotę przy tym bydle i przekonało do siebie macierzystą jednostkę z samymi Austriakami, to się wydawało, że to się uda, że się przetrwa, jeśli się tylko będzie pilnować, żeby głodni nie chodzili na palenie wiosek i strzelanie do Ruskich i naszych. No ale ten chudy, najważniejszy, którego wszyscy się słuchali i do którego mówili Kmicic, oprócz wszystkich niedostatków miał jeden plus. W oczach mu świdrowało coś ciężkiego, czemu można było uwierzyć.

No to było wyruszenie na pozycje, tymi dwójkami, choć się samemu nikogo do dwójki nie miało. Najpierw po krzakach, a potem przez wysoką, niekoszoną trawę aż do muru z cegły. Się było już w połowie drogi do muru, kiedy padły strzały i coś bzyknęło zupełnie blisko kilka razy. Reszcie z bronią chyba łatwiej było niż z widłami i trzeba było znieruchomieć, żeby trawa się nie ruszała. Jak się popatrzyło w bok, to wszystkim oczy zrobiły się nieproporcjonalnie wielkie i po dziecięcemu uczciwe. To było nawet przyjemne, że się z nimi było. Jednego tylko

